
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Bohdan Rudawiec – *Z rozkazu najwyższych władz...*

Byliśmy normalną polską rodziną z rodowodem i tradycjami patriotycznymi, tata nauczyciel, kierownik szkoły, mama nauczycielka pisarka, poetka i aktorka, siostra Halinka gimnazjalistka lat 14, no i ja Bohdanek 5 lat. Miejsce zamieszkania Grodno – Polska. Wszystko jeszcze było przed naszą młodą rodziną, cele, zamiary, marzenia. Dla mnie rodzice przygotowywali świetlaną przyszłość. Wybuch wojny i wkroczenie Armii Czerwonej do Polski i do Grodna zniweczył całkowicie wszystkie ich plany. Rozpoczęły się represje, przesłuchania i aresztowania a następnie zesłania na Syberię.

Tata został aresztowany za patriotyzm i ratowanie polskich książek, które przez okupanta sowieckiego przeznaczone były na spalenie. Za tę „zbrodnię” przeciwko Związkowi Sowieckiemu zesłano go do łagru. Mamę, przyjaciela i znajomi ostrzegali przed dalszymi represjami ze strony NKWD, co w stosunkowo krótkim czasie sprawdziło się. Zaczęli nas odwiedzać tajniacy wyrażając chęć kupna różnych rzeczy jak: dywanu perskiego, lisa srebrnego, futer. Mama jeszcze tego nie zrozumiała co nam grozi, ale był to już widoczny znak, że jesteśmy na liście do wywózki, a ci ludzie mieli już tę świadomość.

Pierwsze transporty z deportowanymi odjechały z Grodna już w lutym 1940 r., a my za namową najbliższych przyjaciół mieliśmy się przenieść na wieś i tam się ukryć. Ponieważ mama po długich staraniach dostała zezwolenie od władz więzienia na przekazanie ojcu paczki w dniu 14 kwietnia, nasza ucieczka

musiała się o kilka dni opóźnić. Do podania paczki nie doszło. Wspomniane zezwolenie, to była przewrotność i obłuda okupanta gdyż 13 kwietnia byliśmy już w pociągu wiozącym nas na zesłanie! Przyszli w nocy, uzbrojeni, kolbami karabinów uderzali w drzwi, mama nie otwierała naiwnie myśląc, że odejdą, że zrezygnują, pomyślą, że nikogo nie zastali. Otworzyła dopiero gdy zamierzali sforsować drzwi przy pomocy siekiery. Weszli, trzymając wycelowane w nas karabiny, obawiając się zasadzki. Dopiero jak zobaczyli bezbronną kobietę, a obok niej 14 letnią dziewczynkę wróciła im pewność siebie. Jeden z nich powiedział: „Nu hrabianka sobierajsia” – „Z rozkazu najwyższych władz Związku Sowieckiego jesteście skazana na zsyłkę na Sybir” – taki był wyrok.

Gdy przyszli po nas mama i Halinka jeszcze nie spały odmawiały modlitwę „Pod Twoją Obronę”. Mnie obudziło łomotanie do drzwi, siostra płakała, a ja czułem, że dzieje się coś złego. W końcu też zrozumiałem, że wyrzucają nas z domu. Do dziś mam przed oczami ten rozgardiasz spowodowany rewizją, rzeczy powyrzucane z szafy, książki z biblioteki leżące na podłodze, pościel rozrzuconą w nieładzie. Od tego momentu wszystko pamiętam, chyba spowodował to wstrząs jakiego doznałem po przebudzeniu się i wtargnięciu uzbrojonych obcych ludzi. Mama nie płakała, dostojna i wyniosła dla wroga, lecz wewnątrz całkowicie otępiiała i roztrzęsiona nerwowo patrzyła na to ze zgrozą. W większej części bagaż podręczny, jaki wolno nam było zabrać, pakowany był przez Halinkę, jednak jeszcze jako dziecko, wkładała do niego przede wszystkim swoje ulubione książki i lalkę, a dla mnie parę gumowych krasnoludków, czyli bardzo niepraktyczne jak na Sybir rzeczy. Żadnych dokumentów nie pozwolili nam zabrać. W porozrzucanych rzeczach i książkach na podłodze Halinka zobaczyła teczkę naszego dziadka z dokumentami, rodowodem, historią rodziny, drzewem genealogicznym i innymi starymi pergaminami z pieczęciami lakowymi i wstążkami. Gwałtowność z jaką teczkę podniosła wzbudziła podejrzenie żołdaka, wyrwał jej z rąk i natychmiast ją zabrał. Pozostaliśmy bez dokumentów, utraciliśmy swoją tożsamość, staliśmy się ludźmi znikąd.

Uzbrojonych 3-ch mężczyzn wyprowadzało z domu kobietę z dwójką dzieci, padał deszcz, na dworzec towarowy w Grodnie wieźli nas przez miasto otwartą ciężarówką. Było mi zimno i mokro! Z opowiadań mamy i siostry wiem, że czułem się bardzo skrzywdzony. Gdy dotarliśmy na dworzec inni nieszczęśnicy już tam byli, pakowano nas do wagonów bydłowych jak groźnych przestępców. Jedna prycza dla 3-ch osób. Kobiety, mężczyźni i dzieci w różnym wieku, kilkanaście rodzin w jednym wagonie. Zesłańców żegnał tłum krewnych, znajomych i przyjaciół, ale kordon uzbrojonych żołnierzy nie dopuszczał nikogo w pobliże wagonów. Pamiętam dobrze okrzyki pożegnań i płacz kobiet, ogólny rwetes przekrzykujących się wzajemnie ludzi. Przekazywano sobie ostatnie polecenia i wskazówki, a potem zgrzyt zasuwanych drzwi i dźwięk ryglowanych sztab, który towarzyszył nam już do końca tej naszej dwutygodniowej „podróży”. Pociąg ruszył wraz z pieśnią „Boże coś Polskę” i dopiero teraz mama się rozplakała. Za nami pozostał spokojny, ciepły, zaciszny dom rodzinny, a przed nami daleka, zimna, obca Syberia.

Okno w okno z wilkiem

Od kilku dni szalała burza śnieżna tak zwany „buran”. Sąsiedzi rano odkopywali zasypane śniegiem drzwi od naszego baraku, mamie i innym groziło

spóźnienie się do pracy i różne tego przykre konsekwencje. Moja siostra Halina nie mogła nabrać śniegu, aby po jego roztopieniu ugotować herbatę. W taką zawieję wyjście po wodę do studni wymagało nie lada odwagi, gdyż zdarzały się wypadki utraty orientacji przez śmiałków ryzykujących wyjście z baraku. Pomylenie kierunków w powrotnej drodze i pójście zamiast do baraku w step, to niemal pewna utrata życia, zwana tam „białą śmiercią”. Biel śnieżna zasypywała oczy, widoczność była na odległość wyciągniętej własnej ręki. W obawie przed zaginięciem podczas takiej zamieci niektórzy wysyłali po wodę swoich bliskich zabezpieczając im powrót przy pomocy sznurka przywiązywanego do odzieży, który pociągany przez domowników wskazywał drogę powrotu.

W tym czasie na polecenie lekarza mama dostała pracę zaliczaną do lekich. Była nią woszobojka, czyli obsługa szafy z grubej blachy, pod którą znajdowało się palenisko. Zawieszane w niej ubrania (najczęściej były to kufajki i watowane spodnie) ulegały w ten prosty sposób dezynfekcji, a dokuczliwe insekty ginęły. Aby osiągnąć temperaturę od 60 do 80 stopni w szafie trzeba było utrzymywać stały ogień w palenisku, co miało tą zaletę, że wokół woszobojki było stosunkowo ciepło.

W dniach, gdy zimowa aura była nieco łaskawsza pomagałem mamie dokładać opał do paleniska. Był to jednak środek zimy i nawet wówczas gdy nie było zamieci, temperatury były bardzo niskie. Nie siedziałem jednak w baraku beczynnie, ale tak jak inne dzieciaki, 7/8-latki musiałem sam sobie radzić i pomagać mamie i siostrze. Dzieliliśmy zajęcia sprawiedliwie. Halinka jako starsza (16 lat) bez względu na pogodę, miała obowiązek iść z kartkami po dzienną porcję gliniastego chleba, która nam przysługiwała (200 g dla osoby pracującej i po 100 g dla dzieci). Chleb był jak glina, w dodatku zmarznięty, co powodowało, że ważył więcej niż wynosiła jego faktyczna waga. Często trzeba było długo czekać na mrozie, ponieważ dowozili go nieregularnie. Dziś nie smakuje tak ciastko, jak wtedy ten gliniasty chleb i niezapomniane są chwile, gdy wieczorem po powrocie mamy z pracy siadaliśmy w trójkę na pryczy i niemal rytualnie zjadaliśmy, każdy swoją porcję z uprzednio na równe części podzielonego kawałka. Wtedy obiecywaliśmy sobie wzajemnie, że gdy Dobry Bóg da powrócić kiedyś do Polski, każdy z nas kupi bochenek chleba żeby go samemu zjeść. Tego przyrzeczenia nie dotrzyaliśmy, ale szacunek dla chleba już na zawsze pozostał, podobnie jak podświadomy strach przed tym, że w pewnym momencie może go zabraknąć. Marzenia nasze o tym co będziemy jedli po powrocie do Polski, na które wówczas nie było żadnej nadziei, popijaliśmy wodą ze stopionego śniegu.

Często do moich obowiązków należało przyniesienie przysługującej raz dziennie na kartki, dla każdego porcji woda-zupy. Po taką zupę w skład, której wchodziła woda, a w niej kilka ćwiartek zielonych, niedojrzałych jeszcze pomidorów, albo inną dla urozmaicenia zwaną kapuśniakiem, czyli też woda z kilkoma pływającymi listkami kapusty. Chodziłem po tę zupę z dwoma puszkami po konserwach, jak z wiaderkami na drucianych rączkach. Ta „głodna kuchnia” znajdowała się w nieodległym sąsiednim baraku-lepiance. Udając się tam musiałem mieć na głowie czapkę uszatkę i ubraną kufajkę. Obydwie rzeczy były z osoby dorosłej, zatem czapka spadała mi na oczy, a w kufajce miałem podwinięte rękawy. A gdy śnieżycą, wiatr i mróz zelżały droga po zupę była łatwiejsza.

Stale jednak głód doskwierał ludziom i zwierzętom, a wygłodzone wilki podchodziły niemal pod zabudowania. Od czasu do czasu słyszało się, że ośmielone głodem bestie kogoś rozszarpały. Dużo nie brakowało żeby i mnie to się przytrafiło, gdy wracałem ze zdobyczną i drogocenną zupą, ostrożnie pokonując kilka oblodzonych schodków, żeby nie rozlać gorącej wodo-zupy i nie pozbawić całej naszej rodziny „kolacji”. Było ciemno, późne popołudnie, około godziny 16-tej. Gdy oderwałem wzrok od zlodowaciałej i śliskiej powierzchni śnieżnej ścieżki, ujrzałem wpatrujące się we mnie zielone oczy wilka w odległości 5, a może 7 metrów ode mnie. Stałem jak sparaliżowany, on siedział w pozycji wyczekiwania, widocznie zastanawiał się, czy zaatakować w takiej bliskości siedzib ludzkich. A może powstrzymywało go to, że był sam?

Myśli kotłowały mi się, i podpowiadały co robić? Co będzie z zupą? Chyba instynkt samozachowawczy sprawił, że postanowiłem powoli wycofać się. Czy robiłem to intuicyjnie? Czy ze względu na zupę (tego już nigdy nie ustaliłem)? Ale tak samo jak wilk we mnie, tak ja wpatrując się w tę żarłoczną bestię, ostrożnie cofałem się, aż dotarłem do schodków stołówki i dopiero wtedy zacząłem krzyczeć: Wołk! Wołk! Wybiegło kilku mężczyzn z łopatami do odśnieżania. Wilk niechętnie się wycofał i wnet zniknął w ciemnym stepie, a pode mną po tym spotkaniu długo jeszcze drżały nogi. Opatrzność Boża mnie uratowała! Nie było mi więc dane stać się ofiarą wilka, gdyż sam byłem jak ten wilk stepowy, gdy starałem się radzić sobie w różnych skrajnie niebezpiecznych sytuacjach.

*

Donat Poważynski – *Zniewolone dzieciństwo*

Okres po drugiej wojny światowej, sprawił, że mieszkańcy tzw. Kresów Wschodnich mieszkają obecnie w różnych rejonach naszego kraju, a wśród nich są także mieszkańcy Słonima, miasta mojego dzieciństwa. Niewielu z ich zapewne jeszcze dzisiaj pamięta, że Słonim leży w dolinie Szczary przy ujściu do niej Issy i zaliczany jest do najstarszych oraz sławnych miast kresowych ziem Rzeczypospolitej. Jego dzieje wypełnione były zróżnicowanymi etnicznie plemionami, walkami o prymat władzy, rozwojem i upadkami następującymi po zbrojnych najazdach. Z miastem związane są postaci najrozmaitszej maści – przedstawiciele rodów rycerskich, osoby świeckie i duchowne żyjące w okresie gdy czas miecza i walki był silnie powiązany z tą ziemią i miał ogromne znaczenie w jej rozwoju. Pojawiają się one w różnych sekwencjach bezpowrotnie minionych stuleci, nieraz z ostrością konturów, z których jedne czas wyostrzył, drugie skutecznie zatarł.

Dość wspomnieć, a dobrze to pamiętam, że w okresie międzywojennym z wieży strażackiej Słonima, codziennie o godzinie dwunastej rozlegał się hejnał Ogińskiego. Imię tego zacnego włodarza Michała Kleofasa Ogińskiego nosiła też jedna z ulic oraz kanał, który zawdzięczał swoje powstanie tej zacnej postaci związanej z dziejami miasta. Kanał ten łączył Dniepr z Niemnem przez Szczarę i jezioro Wyganowskie. W latach 1867-1883 spławiano nim drewno do Morza Bałtyckiego. Ziemia Słonimska przechodziła swoje losy, zabory, rozwój, pożary, odbudowy i upadki a jej mieszkańcy syberyjską katorgę, na którą zsyłano nie tylko Polaków, ale i mieszkających tu Tatarów oraz Białorusinów.

Podczas pierwszej wojny światowej miasto przeżyło inwazję bolszewickie, podczas których doznało ciężkich ofiar wielu najświetlejszych jego obywa-

teli. Między innymi w okrutny sposób zamordowano wówczas słonimskiego proboszcza ks. Ignacego Jana Webera, którego grób znajduje się w kościele na tzw. Zamościu. Trzeba też wspomnieć imponujące jednością zróżnicowane etnicznie społeczeństwo tego kresowego miasteczka. Dodajmy tu, że np. w 1937 roku pogrzeb Tatarskiego płk. Bojraszewskiego, pierwszego po wojnie światowej burmistrza Słonima stał się, rzecz można, wielką manifestacją wszelkich stanów i grup etnicznych składających w ten sposób hołd pamięci temu Człowiekowi wielce zasłużonemu dla rozwoju miasta i szacunku dla jego mieszkańców. Wówczas to cała ulica Tatarska zapełniła się, jak nigdy, tłumem Polaków, Białorusinów oraz Żydów.

W okresie międzywojnia kresowy Słonim żył swoim spokojnym życiem. Miasto braci Ogińskich, położone malowniczo nad piękną rzeką Szczarą i kanałem Ogińskiego, w który zamieszkiwały żyjące zgodnie cztery diaspory – polska, żydowska, białoruska i tatarska – posiadał cztery kościoły rzymskokatolickie, cerkiew prawosławną, synagogę oraz meczet. Splendoru dodawały mu stacjonujące tu dwa pułki piechoty – 79 i 80, które podejmowały wiele działań patriotyczno-edukacyjnych z wyraźnym adresem do młodzieży. Pamiętać więc trzeba, że dorobek z tego zakresu był znaczący, częstokroć też nastawiony na sprawy żywotne dla życia miasta i jego mieszkańców. Scharakteryzowane tu w wielkim skrócie i ze znacznym zubożeniem dzieje miasta, są o wiele bogatsze i wielostronne tematycznie.

Tu wspomnę, że po śmierci Taty w 1936 r., który był kapelmistrzem orkiestry stacjonującego w Słonimie 79 pułku piechoty, Mama – absolwentka Wyższej Szkoły Kupieckiej w Petersburgu przystąpiła do odbudowy naszego drewnianego domu, który wówczas spłonął. W roku 1938 cała nasza rodzina, składająca się z pięciu osób, wprowadza się do nowego domu. Radość z własnego kąta trwała jednak zbyt krótko. Wrzesień 1939 roku był wyjątkowo pogodny a mieszkańcy otulonego „babim latem” Słonima dowiedzieli się o tym, że Niemcy napadły na Polskę, a w ślad za tym 17 września 1939 roku hordy bolszewickie wkroczyły do miasta. Fakt ten przyjęto ze zgrozą i tylko niektórzy spośród ludności żydowskiej i białoruskiej witali bolszewików chlebem i solą wykrzykując „My Was żdali 20 let”!

Okupacja sowiecka rozpoczęła się aresztowaniami, grabieniem majątków, politycznymi mityngami, walką z religią, której najwidoczniejszym przejawem występującym w szkołach była ateizacja dzieci. Usiłowano odsunąć je od Boga i religii – głosząc hasła „Boh daj pirog” i „Sowiet daj kanfiet”. Oczywiście Pan Bóg pierogów nie dawał, za to Sowiet obdarowywał dzieciaki ciurkami. Oczywiście tego rodzaju spektakle przekonywały wyłącznie dzieci z rodzin białoruskich i żydowskich. Początki roku 1940 stały się tragiczne dla naszej rodziny. 15 marca 1940 r. w nocy został aresztowany mój brat Edward, mający lat 19 i osadzony w więzieniu słonimskim. Po miesiącu przewieziono go do więzienia w Orszy, gdzie odbyła się rozprawa sądowa, podczas której otrzymał wyrok – 5 lat łagru w okolicach Archangielska.

W niespełna miesiąc później (13. kwietnia.) o brzasku dnia enkawudzista z dwoma cywilami, prawdopodobnie nacjonalistami – białoruskim i żydowskim przyszedł do naszego domu i po rewizji nakazał: „Sabirajties”. Pojedźcie tam, gdzie wasz syn. I tak rozpoczęła nasza tułaczka wiodąca zesańcym szlakiem z miasta mojego dzieciństwa do „sowieckiego rajy”!

Dwa tygodnie minęły, gdy towarowy eszalon zatrzymał się na malutkiej stacji kolejowej Pietuchowo w północnym Kazachstanie przed Pietropawłowskiem. Z 65 wagonów bydłęcych wyległo na pobocze torowiska kilkaset polskich zesłańców – kobiet, mężczyzn, dzieci i starców, wystraszonych oraz wygłodzonych, aby rozpocząć dalszą wędrówkę w nieznanym rejonie tej ziemi. Moją rodzinę – matkę, dwie starsze siostry i starszego brata – załadowano wraz z pięcioma innymi rodzinami na rozklekotany „gruzawik” (samochód ciężarowy) i ruszono w nieznaną. Jechaliśmy kilka godzin przez stepy i lasy brzoźowe, w których miejscami leżał jeszcze śnieg, a był to już początek maja 1940 roku. Wreszcie przyjechaliśmy do niewielkiego „pasiołka” o dźwięcznej nazwie Sow-Ług. Ujrzałem dwa szeregi malutkich ziemianek ledwie wystających z ziemi, z malutkimi oknami usytuowanymi przy samej ziemi. Osada wyglądająca dziwnie, położona była dość malowniczo, bo dookoła rósł olbrzymi las ze smukłymi i białymi jak śnieg brzoźami. Enkawudzista, który nas eskortował, przedstawił przewodniczącemu kołchozu (był to kołchoz typowo rolniczy) przywiezionych polskich zesłańców i nakazał zakwaterować wśród rodzin rosyjskich.

Zamieszkaliśmy w jednoizbowej ziemiance z kuchnią, w której był olbrzymi piec chlebowy, dostosowany również do spania. Ściany i podłoga ziemianki były wysmarowane gliną zmieszaną z krowim łajnem. Smród był niesamowity i nie do zniesienia. Rodzina rosyjska składała się z czterech osób a nas doszło jeszcze pięć, więc można było sobie wyobrazić, jak w tak małym pomieszczeniu musiało zmieścić się dziewięć osób. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, aby warunki naszego pobytu zmienić na lepsze. Pomału rozlokowaliśmy się w tym dziwnym mieszkaniu, a każdy z nas był jakby zamurowany. Nie wiedzieliśmy po prostu, po co nas tu przywieziono i za co, i za kogo mamy cierpieć?

Mając skończonych dziewięć lat i ukończoną jedną klasę szkoły powszechnej w Słonimie, nie zdawałem jeszcze sobie sprawy z tego wszystkiego, co się wokół dzieje. W pierwszej chwili nawet na myśl mi nie przychodziło, że w tych warunkach i w takim otoczeniu przyjdzie mi żyć. Od samego początku nie opuszczała jednak nas nadzieja, że ten pobyt jest tymczasowy, że to wszystko nie będzie trwało długo. Ta myśl pozwalała nam nie rozpaczać nad tą nową sytuacją oraz prosić Boga o pomoc i przetrwanie. Na nasz widok mieszkańcy kołchozu powychodzili ze swoich ziemianek i z ciekawością obserwowali nieznaną przybyszów. Byli poubierani w dziwaczne łachmany, a dzieci, przeważnie bosonodzy chłopcy, mieli głowy ostrzyżone na zero. Dziwny to był widok, bo dotychczas nikt z nas w życiu nie przebywał w takim środowisku. Określano nas, jako: „bieżeńcy” (uciekiniery), „polskie pany” i wrogowie Sojuza. Większość mieszkańców tej osady było analfabetami, a jedyną w kołchozie szkołę zamknięto, bo nie było nauczyciela.

Po krótkim zapoznaniu się z życiem kołchozu i jego mieszkańcami, dostaliśmy prowiant w postaci chleba i słoniny. Mogliśmy wreszcie, jako tako zaspokoić głód, bo żywność, którą mieliśmy w pociągu już dawno się skończyła. Dzięki temu, że Mama ukończyła w Petersburgu „Wyższe Kamierczewskoje Uczyliszcze” (Wyższa Szkoła Kupiecka) i znała bardzo dobrze język rosyjski, mogła swobodnie prowadzić konwersację z tutejszymi mieszkańcami i uzyskiwać wszelkie informacje na temat życia i pracy.

Pierwszy okres pobytu przebiegał dość monotonnie. Nasz przyjazd do Sow-Łagu zbiegł się ze świętem pierwszego maja i pierwszym dniem prawosławnej Wielkanocy. Chociaż wszelkie święta religijne były zakazane, to tu w dalekim Kazachstanie Rosjanie obchodzili je, jako rosyjską tradycję. Przeważnie w każdej ziemiance była ikona ozdobiona haftowanymi długimi rącznikami. Ponieważ zbliżał się okres żniw, obowiązkowo do prac polowych zmuszano wszystkich, nawet dzieci, które ukończyły dziesięć lat. Dziwołagiem karnym w kodeksie bolszewickim był artykuł, który zezwalał wydawać wyroki już na dwunastoletnie dzieci. Oczywiście dzieci wykonywały w polu prace pomocnicze, jak plewienie buraków i ziemniaków oraz przy sianokosach i zwózce zboża do mechanicznych młockarni.

Pierwszą pracę rozpocząłem od obsypywania ziemniaków bardzo ciężką „haczką”. Po takiej całodziennej pracy nie czułem ani rąk, ani nóg. Lżejsza była praca przy zgarnianiu siana drewnianymi grabiami. Z zaciekawieniem przyglądałem się kombajnom zbożowym, które widziałem po raz pierwszy, dziwnym traktorom na stalowych kołach, zakończonych ostrymi zębami, żniwiarkom zwanym „łabagrejkami”. Ponieważ lato trwało tu bardzo krótko, dlatego w czasie żniw zboże koszone i układano w stogi, żeby w okresie zimy można było je młócić. Uprawiano przeważnie pszenicę, żyto, proso, słonecznik, a z roślin: ziemniaki i buraki pastewne. Przy wykopkach ziemniaków nie stosowano żadnej mechanizacji. Mężczyźni i kobiety wykopywali je szpadlami, a najczęściej dzieci zbierały je do wiadra i sypały na kopce. Wszystkie prace polowe wykonywano od świtu do zmierzchu. Dorośli pracowali na okrągło, dzień i noc. Na pole przywożono posiłki w postaci chleba i mleka lub jakiejś zalewajki. Za wykonywaną pracę rozliczano dorosłych tak zwanymi „trudodniami” (roboczdniówki), dzieciom nic nie naliczano. Stosowano tu stałą sowiecką zasadę: „kto nie pracuje ten nie je” (nawet dzieci).

Każdy kołchoźnik miał półhektarową działkę, na której przeważnie sadił ziemniaki i trochę warzyw oraz tytoń. Żadnego zboża nie wolno było uprawiać. Wolno natomiast było trzymać krowę, jednego cielaka, dwie świnie, pięć owiec oraz kury i gęsi. Z każdego zabitego zwierzęcia trzeba było oddawać kołchozowi skórę, nawet ze świni. Do roku 1941, to znaczy do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, mieszkańcy kołchozu żyli dość dobrze, bo mieli, co jeść. Wybuch wojny spowodował, że z kołchozu zabrano do wojska wszystkich mężczyzn w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat. Zabrano wszystkie zdrowe konie i opróżniono ze zboża wszystkie magazyny. Widmo głodu rysowało się przed oczyma Polaków, bo przecież żadnej działki uprawnej nie mieli, a w kołchozie nie wiele mogli liczyć, że za wykonaną pracę dostaną trochę zboża czy ziemniaków.

Tu wspomnę, że na mocy porozumienia Sikorski – Majski, brat mój Edward zwolniony został z łagru, skąd po uciążliwej wędrówce dotarł obdarty i wynędzniały do kołchozu w Kazachstanie gdzie przebywaliśmy razem z Mamą. Nie długo jednak pozostawał z nami bowiem już w grudniu 1941 roku wyruszył na kolejny uciążliwy syberyjski szlak. Tym razem podążał do formującej się w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Wędrówka ta zakończyła się po dwu Na początku kwietnia został aresztowany 18-letni brat i wysłany do łagru w okolicach Archangielska. Po dwóch miesiącach w Uzbekistanie, gdzie w lutym 1942 roku znalazł się w Wojsku Polskim, w formacjach którego wędrował przez Persję, Palestynę, Egipt, Liban, kończąc ten wojenny szlak udziałem w bitwie pod Monte Cassino.

Pierwsza zima na zesłaniu upłynęła w miarę spokojnie, chociaż mrozy były duże i zamiecie niesamowite. Po żniwach i wykopkach w 1941 roku nikt nie dostał za wykonaną pracę. Wszystkie zbiory z pola były zwożone do magazynów, a stamtąd zabierały je przyjeżdżające z Presnowki (powiat) samochody. W tym roku zacząłem wozić zboże wymłócone przez kombajn do magazynu. Miałem wóz skrzyniowy zaprzężony w dwa wychudzone byki i tak w ciągu dnia po kilka razy kursowałem tam i z powrotem. Z kombajnu zboże sypano bezpośrednio do skrzyni, a w magazynie trzeba było rozładować je za pomocą drewnianej łopaty. Ile w ciągu dnia przerzuciłem zboża, jako jedenastoletni chłopak, trudno mi dzisiaj wyliczyć. Po takiej całodzienniej harówce zmęczenie było okropne. Jediną pociechą było to, że po skończonej zwózce mogłem po kryjomu wynieść ze skrzyni trochę zboża i napełnić kieszenie. Musiałem to robić bardzo ostrożnie, bo gdyby mnie przy tym przyłapano, to groził mi sowiecki poprawczak. Ale dzięki Bogu, jakoś ten proceder się udawał. Wieczorem można było zboże zemleć na żarnach i upiec jakieś placki lub ugotować zacierkę.

Zima tego roku nadeszła dość szybko i wszystkich zaskoczyła, szczególnie nas Polaków, olbrzymimi opadami śniegu i srogim mrozem, dochodzącym do pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W okresie zimowym, kiedy większą część dnia spędzałem w ziemiance, Mama udzielała mi lekcji z języka polskiego i rosyjskiego oraz matematyki. Według jej słów byłem uczniem dość zdolnym i szybko nauczyłem się pisać oraz czytać po rosyjsku. Język polski miałem dość dobrze opanowany, ale żeby go nie zapomnieć, dyktowała mi z pamięci różne wiersze lub opowiadała bajki, a ja to wszystko musiałem pisać. Jediną polską książkę, którą mogłem czytać, stanowiła książeczka do nabożeństwa. Podobnie było wśród innych zesłańców bo akurat nikt z Polaków przebywających w tej co i my osadzie jadąc na zesłanie nie zabrał żadnych polskich książek. Tak więc codzienna modlitwa poranna i wieczorna w języku polskim pozwalała utrwać mowę ojczystą.

W kołchozie była mleczarnia, gdzie odwirowywano śmietanę, a z odtłuszczonego mleka produkowano kazeinę. W mleczarni był dość duży piec z w murowanym weń był olbrzymim kotłem napełnionym wodą. Do wody wstawiało się bańki z mlekiem celem podgrzania do odpowiedniej temperatury, aby dokładnie można było odwirować śmietanę. Codziennie chodziłem do tej mleczarni. Rąbałem drzewo, paliłem pod kotłem, a często ręczną wirówką odwirowywałem śmietanę. Za wykonywaną pracę dostawałem parę litrów serwatki i mogłem napić się mleka, a po skończonej pracy oblizywać ze śmietany wyjęte z wirówki talerzyki, potem zaś dokładnie je umyć. Jeżeli w domu były ziemniaki, to serwatka smakowała jak najlepsza śmietana.

Aby zdobyć trochę ziemniaków i pszenicy, Mama z dwiema siostrami haftowała poszewki na poduszki dla Rosjanek i wyszywały różne wzory na długich ręcznikach. Mój brat, starszy ode mnie o trzy lata, wpadł na pomysł, żeby z sowieckich kopijek wyrabiać pierścionki i krzyżyki. Zdobył kawałek szyny, która zastępowała mu kowadło, młotek, przecinak, pilnik i przebijak. Warsztat był gotowy. Wykonane pierścionki i krzyżyki wymienialiśmy przeważnie na ziemniaki, a czasami dostawaliśmy parę garści prosa lub pszenicy. Doszliśmy do takiej wprawy, że każdy następny wyrób był doskonalszy.

W okresie zimowym moim i brata obowiązkiem było dostarczanie do domu drzewa na opał. Braliśmy wówczas siekiery i nie zważając ani na mróz, ani na śnieżycę szliśmy do lasu, aby ściąć brzozę, potem przyciągnąć ją do domu i popiłować na wymiarowe kloce. Ręce z mrozu po prostu nam kostniały, a nóg w ogóle się nie czuło. Z takiej wyprawy wracałem z płaczem, z bólu nie mogłem wytrzymać. Mama nacierała mi ręce i nogi śniegiem, aby nieco złagodzić ból, zabieg ten zawsze pomagał. Takich wypraw do lasu w czasie zimy było sporo. Często trzeba było zaopatrzyć w drzewo kogoś z Rosjan, bo za taką pracę dostawaliśmy zawsze trochę chleba lub ziemniaków. Na tym odludziu nikt nikomu za darmo nic nie dawał, za wszystko trzeba było płacić pracą, często ponad siły. Pocieszeniem zawsze było to, że po takiej pracy można było wleźć na piec i ogrzać przemęczone ciało.

Oprócz głodu zaczęły nam dokuczać wszelkiego rodzaju insekty. Wszy, karaluchy i pluskwy stały się plagą nie do zniesienia. Wszędzie ich było pełno i nie było żadnego sposobu, żeby je wyniszczyć. Najgorsze były noce, kiedy karaluchy z sufitu spadały na twarz, a pluskwy łążyły wszędzie jak szarańcza. Najgorzej było z wszami, bo te były zarówno w pościeli, jak i w ubraniu, we włosach na głowie, a nawet na brwiach słowem wszędzie tam gdzie były włosy! Mydła nie było, a jedynym środkiem stosowanym do mycia podłóg był popiół z brzozy. Rozpuszczony w gorącej wodzie czynił ją miękką. W takiej wodzie prano bieliznę, w niej też się kąpano. Jedyna w kołchozie bania była najczęściej odwiedzana przez Polaków. Rosjanie już od dawna przyzwyczaili się do takich warunków i to ich nie raziło. Rzadko mieli grzebienie i często jedni od drugich pożyczali je, żeby wycesać wszy.

Przyglądając się takiej sytuacji brat wpadł na pomysł (on miał zawsze zadziwiające pomysły), żeby wyrabiać grzebienie z bydłęcych rogów. Nazbieraliśmy trochę rogów, gotowaliśmy je kilka godzin, a następnie młotkiem rozbijaliśmy na cienkie płytki, nacinaliśmy nożem ząbki i po ogólnej obróbce grzebienie były gotowe. Oczywiście zaraz wymienialiśmy je na żywność z Rosjanami. Był to bardzo dobry pomysł. Wyrób igieł do szycia i gwoździ też był ważnym, doskonałym pomysłem i sposobem na zdobycie żywności, która jakże często zaspakajała nasz totalny głód. Okres zimowy zawsze sprzyjał uczeniu się czegoś nowego, a do tego wszystkiego mobilizował zawsze nieustający głód. Wykonywałem wszystkie prace, za które mogłem coś otrzymać z żywności, a więc odśnieżałem, nosiłem wodę ze studni na drewnianym pałaku ułożonym na ramionach. Taki pałak, zwany „koromysłem”, obciążony dwoma wiadrami wody wpijał się w barki jak drut kolczasty. Po takiej pracy miało się wszystkiego dosyć.

Dzięki Matce nauczyłem się dobrze czytać po rosyjsku, nawet lepiej aniżeli moi rosyjscy rówieśnicy. Książki do czytania mogłem zdobyć jedynie u weterynarza Puzyrowa. Całą jego niewielką bibliotekę potrafiłem przeczytać nawet kilkakrotnie. Czytałem Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja. Przeważnie czytałem na głos w rodzinie Gopcowych, gdzie było dwoje dzieci w moim wieku – córka Wala i syn Tola. Na takie wieczorne czytanie przy „kopciółce” przychodziły inne dzieci. Moja znajomość języka rosyjskiego wzbudzała szczególne do mnie zaufanie nie tylko wśród rówieśników, ale i wśród dorosłych Rosjan. Nawet przyłgnęło do mnie przezwisko – „mudryj Jożik” (mądry Jeżyk). Jeżyk – z uwagi na to, że zawsze kurczyłem się z zimna, a mądry – ze względu na moje wiadomości i wspomnianą umiejętność

czytania. Ponieważ Gopcow był szewcem i szył buty z cholewami, zacząłem przy nim uczyć się zawodu szewskiego. Robiłem drewniane gwoździe, tak zwane szpilki, nici i dratwy z włókna konopi. Nauczyłem się szyć cholewki i przybijać spody. Po kilkumiesięcznej praktyce potrafiłem już samodzielnie uszyć sobie buty z cholewami. Wprawdzie długo w tych butach nie chodziłem, bo musiałem dać bratu Edwardowi, który przybył do nas z łagru w kapciach i po krótkim pobycie wyruszył do Armii Polskiej tworzonej w ZSRR przez gen. Władysława Andersa, właśnie w moich butach.

Trwająca wojna sowiecko-niemiecka przyczyniła się do tego, że nawet Rosjanie zaczęli głodować. Tylko jakoś sobie z głodem radzili. Po kilku zmianach miejsc zamieszkania usadowiliśmy się w końcu u Wronowej, która mieszkała z dwoma synami. Pożycie nasze było zgodne i układało się dobrze. Taką jaśniejszą osobistością w Sow-Ługu była Wasilisa Mielnikowa, zwana popularnie „babuszką Wasiunój”. Była to kobieta 60-letnia, służyła w konnej armii Budionnego i coś niecoś słyszała o Polsce. Nie umiała czytać i pisać, a zajmowała się wyłącznie hodowlą królików. Miała ich duże stadko w związku, z czym trzeba było przygotowywać dla nich sporo pokarmu. Tak się złożyło, że stałem się stałym bywalcem „babuszki Wasiuni”, a potem głównym hodowcą królików. Nauczyłem się posługiwać kosą, żeby kosić trawę. Uprawiałem tytoń i przygotowywałem machorkę i „kareszki”, bo babuszka była jedyną kobietą w kołchozie, która paliła papierosy. Zwijała z gazety stożkowy rulonik, wsypywała do niego tytoń i tak paliła. W okresie zimowym dokonywałem uboju królików, ściągałem skórki. Po ich wysuszeniu na drewnianych palikach, wyprawiałem je za pomocą skwaszonego zacieru, sporządzonego z żytniej mąki. Oczywiście wszystkie jelita królicze przeznaczone były dla mnie. Sporządzałem z nich zupę, coś w rodzaju flaków. Bawiłem się również w weterynarza, bo bauszka Wasiunia miała dużo samców, które trzeba było kastrować. Za pomocą ostrego scyzoryka nacinałem błonę i wycinałem jądra. Doszedłem do bardzo dużej wprawy. Za swoją pomoc w hodowli dostałem parę królików. Po jakimś czasie, gdy się rozmnożyły, miałem ich około piętnastu. Przyszło jednak nieszczęście. Ulewny deszcz zalał zagrodę i wszystkie się potopiły. Przez cały dzień płakałem, a potem musiałem ściągać skórki i patroszyć. Co prawda było na jakiś czas, co jeść, bo mięso królicze nawet padnięte smakowało całej rodzinie, ale żal po stracie pozostał.

Książki, o których wspomniałem, musiałem też czytać w wolnych chwilach dla babuszki Wasiuni. Praktycznie cały okres zimowy na okrągło miałem pracę i zajęcie w różnych zawodach. Najcięższe chwile przeżywałem, gdy przyszło mi iść z 16-kilogramowym workiem pszenicy na plecach do wiatracznego młyna, który stał poza kołchozem na niewielkim wzniesieniu. Oczywiście młyn pracował wtedy, kiedy były silne wiatry, a więc „burany” i zawieje. Brnąłem po kolana w śniegu z ciężarem na plecach wśród zamieci. Nieraz po prostu nic nie było widać. Szło się na odgłos skrzypiących skrzydeł wiatraka. Droga powrotna taka sama – śnieg i mróz, do tego wałący z nóg wiatr ze śniegiem. Pocieszeniem była zdobyta porcja mąki, którą dostawałem od gospodarza. Przyniesiona do domu zaraz była zagospodarowana przez Matkę. Placki, sporządzone na samej wodzie i upieczone bezpośrednio na fajerkach, smakowały jak najlepsze ciasto. Był też taki okres, kiedy głód tak dokuczał, że myślało się o zupełnym zagłodzeniu. Nawet babuszka Wasiunia nie mogła mi pomóc. Poradziła,

aby iść do kołchoźników, którzy jeszcze jako tako dawali sobie radę, i prosić o kawałek chleba lub parę ziemniaków. Nauczyła mnie, jak prosić: *Podajcie miłaścinu Christa radzi* (Dajcie jałmużnę radzi Chrystusowi). Z płaczem i ze wstydem odwiedzałem niektórych Rosjan prosząc o żywność. Zawsze trochę się uzbierało i można było poratować całą rodzinę.

Każda nadchodząca zima przynosiła na zesłaniu nieopisane głodowe życie i ciężką pracę w mroźnych i śnieżnych warunkach. Ileż to razy Mama ze starszą siostrą Lodzią musiały wędrować po śnieżnym stepie do Pietruchowa czy Presnowki, żeby dokonać wymiany jakiejś odzieży na mąkę. Srebrny kornet – pamiątka po ojcu – został wymieniony na pud pszenicy. Cztery złote krzyżyki z łańcuszkami, pamiątki pierwszej komunii, zamieniono na mąkę. W taki sam sposób Mama pozbyła się złotych kolczyków i pierścionka, a w najbardziej krytycznej sytuacji wymieniła na mąkę kilim, który dotychczas służył całej rodzinie, jako kołdra.

Nastanie wiosny zawsze napawało radością i nadzieją, że niedługo skończy się nasza udręka, ale była to tylko nadzieja. Z tą nadzieją żyliśmy i to dawało nam siły do przetrwania. Ta ziemia syberyjska, określana, jako „ziemia nieludzka”, w okresie wiosny i lata stawała się ziemią żywicielką. Wyruszyłem wówczas z workiem na rozmokłe pola i wygrzebywałem z ziemi zamrożone ziemniaki, które po ugotowaniu były czarne jak węgiel. Kiedy pola opustoszały ze śniegu i pokazały się rżyska po skoszonych zbożach, zbierałem kłosa, które suszyłem, wyłuskiwałem zboże i mieliłem na żarnach, żeby otrzymać mąkę. Wiosna przyniosła pożywienie – zbierałem pokrzywę i lebiodę na zupę, a czomber na herbatę. W rejonie naszego kołchozu były dwa jeziora. Jedno, Łabanowo, było prawie martwe – zarosnięte trzcina, a w wodzie żadnej ryby. Drugie, Czyścimir, obfitowało w dość duże ilości drobnych ryb – przeważnie karasi – i gromadziło w swoich szuwarach sporą ilość wodnego ptactwa.

Gnieździły się tam łyski, nurki i dzikie kaczki. Wędrowałem po zimnej wodzie boso i wyszukiwałem ptasich jaj. Jeżeli udało mi się trochę nazbierać, to pożywienie było dla całej rodziny. Często w znalezionych gniazdach, gdzie już były jaja zapłodnione. Ustawiałem też w sposób zamaskowany: kapkany” (metalowe sprężynujące szczęki), w które od czasu do czasu dało się złapać jakiegoś ptaka. Nie gardziłem też jajami wrony czy sroki, a wieczorem w oborze łapałem wróble i z nich przyrządzaliśmy coś w rodzaju rosółu. Przysmakiem też były jeże. Złapanego jeża wrzucało się do pieca i żywcem opalało się z kolców, a następnie patroszyło. Mięso jeża, podobne do mięsa dzika, przerośnięte było tłuszczem. Zdechłego konia, którego wywieziono poza „pasiołek” i zakopano w dole, odkopywaliśmy w nocy i wycinaliśmy kawałki mięsa, ażeby w domu Mama mogła coś z tego mięsa ugotować. Zdarzały się też takie przypadki, kiedy napotykalismy wilka, który upolował dziką kozę i pożerał wnętrzności. Wówczas grupa wyrostków ruszała z widłami, krzycząc i gwizdząc, żeby odgonić wilka. Wystraszony wilk pozostawiał ofiarę, a my zbieraliśmy resztki mięsa i dzieliliśmy je między sobą.

Nad brzegiem jeziora Czyścimir znajdowała się zniszczona łódka, którą z bratem połataliśmy i zaczęliśmy pływać po jeziorze. Właścicielem łódki był Mielnikow, który miał niewidomą żonę. Swego czasu łowił ryby siecią i „morduszkami” (kosze plecione z wikliny z podwójną gardzielą). Był już

w podeszłym wieku i strasznym dziwakiem. Wykonał sobie trumnę drewnianą, w której spał. Nauczył nas wiązać sieci z nici sporządzonych z włókna z konopi oraz wykonywać „morduszki” z wikliny. Dostyc szybko nauczyłem się robić sieci oraz „morduszki”, a także ustawiać je na jeziorze przeważnie na noc. Rano, gdy się przyplęnęło łódką pod ustawione sieci i „morduszki”, widać było, że połów się udał. Po zabraniu ryby do domu przeważnie ją gotowano, a że była drobna, jadło się ją z ościami.

Plagą w okresie lata były komary i olbrzymie bąki, które strasznie dokuczały, szczególnie bydłu. Zdarzało się nieraz, że ugryziony przez bąka byk dostawał szału i gonił na złamanie karku, ciągnąc za sobą wóz, który w końcu rozwałał gdzieś na drzewie. Z komarami walczyło się odganiając je brzoową miotełką i rozpalaniem ogniska wysuszonym łajnem bydlęcym. Ze wszystkiego, czym natura obdarzyła nas na zesłaniu wspomnieć należy i o tym, że bardzo uciążliwe też były wszy, pluskwy, karaluchy, bąki i komary. Nie było żadnych środków ani sposobów na ich likwidację. Wszystko było tylko półśrodkami. Tej strasznej, przygnębiającej, uciążliwej i okrutnej plagi insektów trudno mi do dzisiaj zapomnieć!

Wspomnieć tu należy, że nasz kołchoz był prawie rosyjsko-narodowy. Rosjanie pomimo tego, że władze zabraniały odprawiać obrzędy religijne, świętowali na swój sposób Boże Narodzenie, Wielkanoc, obchodzili Dzień Zadusznych, a zmarłym stawiali krzyże. W czasie prawosławnych świąt Bożego Narodzenia chodziliśmy z bratem po domach z gwiazdą i śpiewaliśmy nauczoną rosyjską kolędę – *Rożestwo twoje Christo Boże nasz*, a podczas Świąt wielkanocnych pozdrawialiśmy słowami: „Christos Woskres” (Chrystus Zmartwychwstał). Z takich wędrówek zawsze uzbieraliśmy sporo żywności. Zwyczajem prawosławnych jest przynoszenie na cmentarz pożywienia w dniu zmarłych. Korzystaliśmy z tego zwyczaju i wieczorem zbieraliśmy z grobów chleb, jajka i „lepieszki”. Każdy pogrzeb był także okazją do korzystania z przygotowanych posiłków stypowych. Na stypach gromadzili się wszyscy mieszkańcy kołchozu. Nieraz jadła było sporo, a nieraz dostało się też „lepieszki”.

Wspomniałem już jak nauczyłem się szyc buty z cholewami, ale podstawowym obuwem zimowym były „pimy” (walonki). Tak jak wszystko, trzeba było „pimy” wyrabiać własnym sposobem. Przypadek sprawił, że tę umiejętność zdołałem także opanować. Pewien Rosjanin, który wyrabiał „pimy”, był chory na gruźlicę i potrzebował środka leczniczego tj. psiego tłuszczu. Zaproponował mnie i bratu, żeby dostarczyć mu tego tłuszczu. Pod osłoną nocy złapaliśmy psa i po prostu udusiliśmy go. Wyjeliśmy tłuszcz, a zwłoki zakopaliśmy. Właściciel był przekonany, że pies padł łupem wilków. Za dostarczony tłuszcz dostaliśmy używane „pimy”. Była to bardzo przydatna zdobycz, szczególnie w okresie zimowym. Przy tej okazji miałem możliwość nauczyć się wyrabiać owe „pimy”. Rozkładało się na stole wełnę i rozdrabniało się ją za pomocą drewnianego wałka. Następnie układano ją na drewnianych kopytach odpowiednimi warstwami i polewało gorącą wodą. Wełna filcowała się i dokładnie przylegała do kopyta. Uformowane „pimy” wkładało się do gorącego pieca w celu dokładnego sfilcowania, następnie opalało się wełniane końcówki i „pimy” były gotowe.

Okres lata syberyjskiego to okres zyciodajny. W lasach pojawiły się grzyby i jagody – „kościéniga” (w smaku przypominające nasze porzeczkę),

a na polach poziomki. W wolnym czasie, gdy nie pracowałem w polu, wyruszałem na zbiór runa leśnego. Zresztą to był mój obowiązek, bo starsze rodzeństwo musiało pracować w polu. Podczas leśnych wędrówek pragnienie gasiłem sokiem brzoźowym. Nacinałem nożem korę i ssałem sok bezpośrednio z drzewa. Uzbierane grzyby i jagody były podstawowym środkiem spożywczym w lecie. Odczuwało się systematyczny brak soli, bo nie było jej gdzie kupić. Od czasu do czasu organizowało się wyprawę nad tzw. słone jezioro, odległe o 16 km od naszego kołchozu. Jeżeli była pogoda, to na brzegu jeziora można było zbierać trochę soli zmieszanej z piaskiem, a jeżeli pogody nie było, to brało się po prostu słoną wodę i transportowało w bańkach, często na własnych plecach. Innym moim zajęciem była produkcja węgla drzewnego. Trzeba było w lesie przygotować trochę pni brzoźowych, wózkiem przewieźć do kołchozu, ustawić stożkowo i podpalić. Gdy drzewo dobrze się rozpałiło, trzeba było obсыпать je ziemią, żeby ograniczyć dostęp tlenu. W ten sposób tłące się drewno bez dostępu powietrza zmieniało się w węgiel. Przy tej okazji z klocków ściągano się białą korę, z której wyrabiano „żwaczkę” (guma do żucia – czarna jak węgiel). Korę z odrobiną masła topiło się w garnku. Otrzymana substancja była doskonałym środkiem czyszczącym zęby. Przez jakiś czas byłem niańką 4-letniego chłopca, porażonego chorobą kończyn dolnych. Mama chłopca, Radionowa, była listonoszką i musiała codziennie chodzić na pocztę do odległej o 8 km Kładbinki, w związku z tym nie miała z kim zostawiać chłopca. Za opiekę dostawałem wyżywienie i trochę ziemniaków do domu. Wieczorami w wolnych chwilach uczyłem się u „Babuszki Wasiuni” prząść wełnę i bawełnę na wrzecionie i na nożnym kołowrotku. Nauczyłem się też z wyrobionych nici robić na drutach skarpety.

Udręką mojej Rodziny było to, że często wzywano Matkę do NKWD w Presnowce, aby podpisała obywatelstwo białoruskie. Po każdej odmowie straszono, że jako „bieżeńcy” zginiemy z głodu i chłodu, bo do Polski nigdy nie wrócimy. Po takich rozmowach zawsze była załamana psychicznie, ale pocieszała ją to, że nie ulegała naleganiom władz. Kiedyś pretekstem do aresztowania 17-letniej siostry był list, który napisała do koleżanki w Karagandzie. NKWD dopatrzyło się w tym liście jakichś zwrotów, które wydały im się podejrzane. Przesłuchiwali ją w Presnowce kilka dni, żeby się przyznała do tego, że list zawierał antysowieckie fragmenty. Dzięki interwencji i prośbie Matki siostrę wypuszczono.

Wspominałem na wstępie, że nasza kołchozowa „Polonia syberyjska” liczyła początkowo ponad 30 osób i składała się z siedmiu rodzin: Kozakowych – 3 osoby, Majowych – 4 osoby, Nowakowskich – 5 osób, Tubilewiczów – 4 osoby, Wutkowów – 5 osób, Kołajdów – 2 osoby i moja czyli Poważyńskich – 5 osób. Nowakowscy zostali przesiedleni do Karagandy, a pani Kołajda zamarła na śmierć wędrując za chlebem podczas ostatniej zimy. Jej 12-letni syn został zabrany do „Dietdoma” (dom dziecka). Niewielka grupa Polaków nie zapomniała języka polskiego, polskich tradycji narodowych i religijnych. W każdą niedzielę i w każde polskie święto Polacy wyruszali do lasu, gdzie po kryjomu odmawiali modlitwy i czytali Mszę świętą. Książeczkę do nabożeństwa miała pani Wutkowa ona też była główną katechetką w naszym posiołku. Oczywiście takie spotkania miały miejsce jedynie w okresie wiosenno-letnim.

Opisałem poprzednio swoją edukację syberyjską, która pozwoliła mi samodzielnie nauczyć się wykonywania wielu prac, co w normalnym życiu nie mogło się zdarzyć. Zmuszały mnie do tego warunki. Musiałem być samodzielny i w jakiś sposób pomóc rodzinie w dostarczaniu żywności. Biorąc pod uwagę wiek, potrafiłem nieraz ponad siły wykonywać bardzo ciężką pracę. Wiek 12-14 lat, bo w tych latach najwięcej pracowałem, zapisał się w mojej pamięci, jako wiek dorosłego mężczyzny. Opisane prace wykonywałem okresowo, ale zawsze z myślą, żeby nie zginąć śmiercią głodową. Podstawową pracą, którą wykonywałem przez okres dwóch lat, oczywiście w porze wiosenno-letniej, było pasterstwo. Byłem po prostu typowym syberyjskim pastuchem z polskim rodowodem.

Początkowo zajmowałem się wypasaniem gęsi i świń, będących własnością kolchoźników. Każdy kolchoźnik dostarczał za to żywność w postaci mleka, ziemniaków, czasem trochę mąki. Stado gęsi składało się z 20 sztuk, a świń – z 15 sztuk. Szczególnie niewdzięczny był wypas świń, które były nieprzyzwyczajone chodzić w stadzie. W ciągu dnia musiałem nabiegać się do tego stopnia, że wieczorem nie mogłem w ogóle się ruszać. Wszystko mnie bolało, a stopy piekły, jakby obłożone były gorącym węglem. Ten wypas nie trwał długo – Mama bowiem zawarła słowną umowę z kolchoźnikami, że podejmiemy się letniego wypasu cieląt. Oczywiście wynagrodzenie, ustalono w naturze – ziemniaki, mleko i mąka w odpowiedniej ilości od każdego cielaka. Wypas cieląt rozpoczynał się ze wschodem słońca i trwał tak długo, jak słońce kończyło swoją wędrówkę po niebie. Rano zbierała wszystkie cielaki do stada i wyprowadzała na pastwisko. Ja z bratem musieliśmy wstawać bardzo wcześnie i zmieniać ją, bowiem szła do pracy w kolchozowym polu. Wszystkie poranki były zimne, a poranna rosa paraliżowała bose nogi. Dochodziłem do siebie dopiero wtedy, gdy słońko ogrzało ziemię.

Bardzo trudno było, szczególnie w początkowym okresie, utrzymać stado w grupie. Cielaki rozbiegały się, więc bez przerwy musiałem je pilnować. Spokojniej już było w środku lata, gdy stado było przyzwyczajone do wspólnego wypasu, wówczas mogłem zapolować na chomiki czy świstaki i nabierać jakiegoś zielska do sporządzenia zupy. Czasami po kryjomu wykopało się kilka ziemniaków, jeżeli rosły w pobliżu i upiekło na ognisku. Zdarzało się też, że w pobliżu pasły się krowy, więc ukradkiem udało mi się do garnuszka udoić trochę mleka. W porze obiadowej Mama przynosiła nam na pastwisko zupę z lebiody lub pokrzywy. I tak całymi dniami wędrowałem z tymi cielakami po polach i stepach Kazachstanu. Po takich wędrówkach nogi miałem pokłute, a często występowały pod stopami bąble, tak, że mogłem jedynie chodzić na piętach. Łydki miałem pocięte rżyskiem zbożowym i ostrą trawą do tego stopnia, że krew leciała strumieniami. Wieczorem po skończonym wypasie Mama za pomocą wywarów z różnych ziół doprowadzała moje nogi do względnie normalnego wyglądu. Pod koniec letniego wypasu stopy były twarde, jakby podszyte skórą, a na łydkach tworzyła się skorupa, przypominająca narośl lub rdzę.

Na pastwisku każdy dzień był jednakowy. Wtedy, kiedy padał deszcz, nakładałem na głowę worek a cielaki zapędzałem do lasu pod drzewa. Często w pobliżu mojego stada pojawiały się wilki. Żeby ich odstraszyć gwizdałem, krzyczałem i uderzałem drążkiem w blaszany kubek, co odstraszało wilki.

Zdarzył się też przykry wypadek. Otóż pewnego dnia, po przeprowadzeniu stada do kołchozu zabrakło jednego cielaka. Właścicielka cielaka narobiła szumu i powiadomiła „predsiedziela”, że *Palaczonki patierali tielonka*. Przez dwa dni i dwie noce cała moja rodzina była zajęta szukaniem cielaka po okolicznych lasach. Strach ogarnął mnie i brata. Bo gdyby cielaka nie znaleziono, groziła nam kara sowieckiego poprawczaka. W czasie tych poszukiwań, tyle się wyplakałem i tyle się wymodliłem, że wystarczyło tego na kilka lat. Dzięki Bogu po trzech dniach poszukiwań cielak odnalazł się w Kładbince. Po prostu obok stada przejeżdżała „telega” (wóz) do którego zaprzężona była krowa i cielak za tym wozem powędrował. Cała rodzina odetchnęła z ulgą. Nie zapomnieliśmy jeszcze o tym wydarzeniu, a tu nagle pojawiło się drugie, początkowo bardzo radosne. Znaleźliśmy w stogu słomy worek pszenicy, około 30 kg. Widocznie robotnicy, którzy dokonywali wysiewu, „zaoszczędzili” go sobie. Brat pobiegł po wiadro, a potem z pełnym pszenicy powracał się do domu. Pech chciał, że spotkał po drodze brygadzystę. No i znowu nieszczęście. Podejrzanego o kradzież brata zabrano na przesłuchanie do NKWD w Presnpwce. Widocznie skuteczne, wprawdzie prawdziwe zresztą było jego tłumaczenie, że pszenica została znaleziona i przekonało ono NKWD zatem brata wypuszczono. Całe szczęście, że to wszystko tak się skończyło. Pan Bóg czuwał nad nami i nas bronił. W okresie, kiedy cielaki nauczyły się paść w stadzie, na pastwisku pozostawałem sam. Brata wyznaczono do wożenia śmietany z kołchozowej mleczarni do mleczarni w Noworybince. Dwa razy w tygodniu odbywał taką podróż bykami. Od czasu do czasu udawało mu się przynieść do domu nieco śmietany. Woził z sobą nieduży czajnik z wodą, w lesie zatrzymywał się, wylewał wodę z czajnika i nalewał do niego śmietanę. Czajnik chował w lesie, a w drodze powrotnej zabierał i chował w sianie. Był to dobry zastrzyk tłuszczu w rodzinie. Tym razem wszystko mu się szczęśliwie udawało.

Lato na pastwisku przebiegało monotennie i jednostajnie. Najbardziej we znaki dawała się jesień. Często w przenikliwym zimnie musiałem, zawsze boso, bo obuwia żadnego nie miałem, chodzić po pastwisku. Nieraz Mama owijała mi nogi onucami, a na to nakładała korę brzożową i wiązała sznurkiem. Zabieg ten łagodził trochę zmarznięte nogi. Wówczas nie zwracając uwagi na urąganie kołchoźników przyprawdzałem cielaki do kołchozu. Zdrętwiałe nogi wkładałem do zimniej wody i w nieustającym płaczu czekałem aż ustąpi piekielny ból. Północny Kazachstan zamieszkiwali wówczas przede wszystkim Rosjanie. W naszej okolicy były tylko dwa auły: „Oktiabr” i „Leninsk”, w których mieszkali wyłącznie Kazachowie. W roku 1944 do naszego kołchozu przywieziono z Kaukazu Czeceńców. Byli dość dobrze ubrani i mieli ze sobą sporo worków mąki kukurydzianej, z której wypiekali placki i gotowali zalewajki. Mieli swój charakterystyczny sposób życia i muzułmańską religię. Każdy Czeceńiec od najmniejszego dziecka do siwiejącego starca podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych posługiwał się metalową amforą napełnioną wodą – zamiast papieru toaletowego.

W końcowym moim pobycie na zesłaniu przyszło mi wspólnie z Czeceńcem o imieniu Kanta prowadzić wypas stada owiec. Charakteryzowało go lenistwo, nie był więc koleżeńskim pastuchem za to jednak był dość odważny. Mieliśmy taką sytuację, gdy nasze stado owiec zaatakowały dwa potężne wilki. Wilki, kiedy wpadały do stada, dusiły owce, podgryzały gardła, a następnie jedną ofiarę ciągnęły do lasu. Strachu najedliśmy się, co niemiara.

Kanta chwycił wówczas jednak uprowadzaną przez wilka owcę za wełnę, a napastnika okładał kijem. Potem długo zastanawiałem się dlaczego, wilk nie rzucił się na Czeceńca i pozostawił owcę. Po naszej nagonce wilki uciekły do lasu, ale po skończonym wypasie do kołchozu przywieźliśmy sześć uduszonych owiec.

Wspomnę tu jeszcze, że deportowanym Czeceńcom władze kołchozu od razu nakazały budować ziemianki. Naród ten, koczujący w górach i zajmujący się wyłącznie wypasem koni i owiec oraz uprawą kukurydzy, nie potrafił budować ziemianek, więc przydzielono im rosyjskich i polskich pracowników, którzy nadzorowali tę pracę. Do murowania pieców używano cegły wyprodukowanej systemem chałupniczym. W tym celu kopano głęboki dół, aż do wystąpienia pokładu gliny. W dół ten wlewało się wodę i powstające w ten sposób błoto mieszano bosymi nogami. Przez pewien czas i ja byłem takim mieszaczem. W dole było nas czterech wyrostków i tak godzinami mieszaliśmy tę glinę aż była na tyle plastyczna, że można ją było wkładać do form, a następnie suszyć na słońcu. Ostatnim etapem było wypalanie cegły w piecu chlebowym. W ten sposób zdobyłem jeszcze jeden zawód – wytwórcy cegły.

Sześcioletni okres zesłania, w którym przyszło mi wykonywać różne prace i zawody, zmienił moją psychikę chłopięcą, kształtował charakter, był szkołą przetrwania i przeżycia. Wszystkie upokorzenia, zniewagi, głód i chłód przeżywałem jak dorosły mężczyzna. Dzięki Mamie zachowałem swą narodowość i język ojczysty. Nie utraciłem nigdy wiary w Boga, a nadzieja powrotu do Polski, która towarzyszyła mi przez cały okres zesłania, została spełniona w 1946 r. Tak oto od 1940 do 1946 roku w warunkach bardzo ciężkich, przepracowałem tysiące godzin przy różnych zajęciach, nie otrzymując w zamian ani jednej kopiejki. Jedynym wynagrodzeniem była często miska „zalewajki” lub parę ziemniaków w łupinach. Przeżycie ciężkich lat zesłania, to – jednak przede wszystkim sprawa Opatrzności.

Tam wśród stepów spotkaliśmy wielu przyjaznych ludzi. To Rosjanie sami zniewoleni przez reżim bolszewicki wyciągali do nas pomocną dłoń. Sami, cierpiąc głód i niedostatek, dzielili się z nami kawałkiem chleba, nieraz ostatnim, szczyptą ziarna i resztkami kartofli. Moje prośbne wędrówki do rosyjskich ziemianek spotykały się z dobrocią i do dzisiaj wspominam kawałki czarnego razowca, którym mnie obdarowywano. Dobroduszość „Babuszki Wasiu-ni” zachowałem w pamięci. Pamiętam serdeczność Grafiny Woronowej, u której mieszkaliśmy, dobroć rodziny Bykówów, Radionowów, Gopcowych i Czebatariowych. Wspominam je ze wzruszeniem i wdzięcznością. A gdy opuszczaliśmy „gościnną ziemię radziecką”, cała ludność kołchozu, w którym pracowaliśmy odprowadzała nas daleko poza rogatki osady. Żegnano nas ze łzami w oczach, życząc szczęśliwej drogi. Dzięki im za to, a Tobie Matko Boska dzięki, żeś Nas zachowała przy życiu i doprowadziła na Ojczyzny łono!

Tutaj muszę oddać szczególny hołd mojej Mamie, która przeżyła w Petersburgu rewolucję 1905 i 1917 roku, wojnę domową w Rosji 1918 roku oraz zesłanie na Sybir. Tymi zesłańczymi zapiskami podziękować Jej chcę za to, że szczególnie na zesłaniu potrafiła uratować czworo dzieci przed głodem i chłodem, zachować wiarę w Boga i przywiązanie do polskości, zachowując

w domu język polski. Jej żelazna konsekwencja w wychowaniu dzieci w duchu polskości i pobożności, pozwoliła przezwyciężyć głód, chłód, upokorzenie i poniewierkę, a często znieważenie i poniżenie.

Dziś z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że przetrwanie tego zesłania zawdzięczamy drewnianemu krzyżkowi, wyrzuconemu ze szkoły przez bolszewików w 1939 roku, który Mama znalazła na śmietniku i 13 kwietnia 1940 roku zabrała ze sobą na zesłanie. Pomimo różnych przeszkód i trudności krzyż ten powrócił z nami do Polski i jest przechowywany w domu, jako relikwia naszej rodziny. Ten zniewolony krzyż dla nas był ostoją, wsparciem, nadzieją i przetrwaniem na wygnaniu.



Stara kartka pocztowa z widokiem Słonima